

Wychodzą we Wto-
rek, Czwartek i Sobo-
tę. We Lwowie prenu-
merata roczna 6 Złr. —
półroczna 3 Złr. — kwar-
talna 1 Złr. 30 kr. —
miesięczna 30 kr. m. k.
W kraju z przesyłką po-
sztową rocznie 8 Złr.
półrocznie 4 Złr. — kwar-
talnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego
rodzaju przyjmują się za
opłatą od wiersza za je-
dnorazowe umieszczenie
po 3 kr., za następne po
1 1/4 kr. i za dopłatą 10 kr.
stałego.

Biuro ekspedycji w księ-
garni H. W. Kallenba-
cha przy placu dykastery-
alnym pod l. 41.

ZNAJDA.

Powieść w jednym tomie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Na folwarku.

Na żywej ziemi podolskiej, niedaleko Zbaraża, leży długo rozciągnięta wieś Chałupiniec. Nie wiele powiedzieć da się o położeniu tej wioski, które trudno, by nazwać zbyt malowniczym. Był to, jak zwykle na Podolu naszym, długi jar, sterczący tu i owdzie białymi żebrami skalistymi, po którego obu bokach ciągnęło się długim węzłem kilka wiosek podolskich. Znałe są zagrody wiejskie Podola; więcej tam porządných stert, niżeli porządných zabudowań, więcej okopów niżeli płotów, więcej na nich słomy nawalonej, niżeli drzew zasadzonych, co nieraz nadaje im smutną jakąś powierzchowność. Ale że powierzchowności wierzyć nie można, najlepszym są dowodem zagrody wieśniaków podolskich, w których większy za to mieści się dostatek. Pomiędzy czterema wioskami które się wzdłuż i w szerz rzeczonoego jaru rozciągały, najznacniejszą rolę odgrywały Chałupiniec, które były stolicą trzech wiosek, należących do pana szambelana Dyźmy Zaklickiego. I czwarta wioska należała niegdyś do ojca i dziada pana Dyźmy, który był szlachcicem z antenatów, a nawet i karmazyny liczył pomiędzy przodkami swymi. Lecz ojciec pana Dyźmy, który to sam był owym prawdziwym, szambelaństwo bowiem spadło na syna prawem dziedzictwa u nas zwyczajnem, przeszambelanował jakoś na dworze Stanisława Augusta Zalesiniec, ową czwartą w tym jarze wioskę. A że łatwiej stracić jak nabyć, mimo najszczerzej chętki, mimo że na starość zamknął się na wsi, i gorliwie wziął się do gospodarstwa, Zalesiniec zostały własnością pana Kalasantego Zapeckiego, który je nabył. Nie małą z tąd zgryzotę odziedziczył pan Dyźma po ojcu. I jakże mogło być inaczej, kiedy codzień z okien swojego dworu patrzeć musiał na dwór Zalesiniecki, na drugiej stronie jaru stojący. To jedynie pocieszało pana Dyźmę, że o ile jego dwór był okazały i pański nawet, o tyle dworek pana Kalasantego był skromny i potulny. Do skompletowania obrazu miejscowości dodać można, że na samym środku jaru był stawek nie wielki, z odartym ale intratnym młynem, który wraz z wielką gorzelnią i wołownią, rozłożonemi koło stawu, był wyłączną własnością pana Dyźmy. Pan Kalasanty miał jeno prawo do jednego brzegu małego strumyka, który nazywano rzeczka, a któ-

ry ciągnąć się wężykiem parowu, podsyczał rzeczony stawek. Na górze zaś, po za dworem pana Dyźmy, był niewielki gaik, który od niepamiętnych czasów nazywał się siana dębina. Czyli i kiedy był zasiany, nikt naturalnie nie wiedział o tem; ale to pewna, że był to choć rzadki ale śliczny laszek, w którym z łona ciemniejszych dębów, wdzięcznie występowały porozrzucane tu i owdzie brzozy. Gaik ten był słabą stroną pana Dyźmy, który się nim pysznił niepospolicie. Bo już to naprzód posiadanie lasu jakiegobądź, nie małą jest rzeczą na Podolu, a potem gaik ten przypierając o ogród prawie, nadawał mu pozór obszernego parku. To też pan Dyźma lubił wspominać przy zdarzonych sposobnościach o swoim lesie, o swoim parku, a nawet i o swoim zwierzyńcu; siana dębina bowiem odgrywała w jego rozmowach tę potrójną, wielce zaszczytną rolę. Niedaleko rzeczutki, naprzeciwko zabudowań gorzelnianych, był jeszcze jeden budynek, porządniejszy nieco od chat, i ocieniony kilkunastą drzewami owocowemi. Był to folwark, rezydencyja pana Jana Pikuły, jeneralnego ekonoma dóbr Chałupiniec z przyległościami. Folwarek ekonomski ma po większej części swój osobny u nas typ rodzajowy; czy budynek jest porządniejszy i gontami obity, jak to był przypadek w Chałupiniecach, czyliż mniej porządny i pokryty słomą, odznacza się zawsze nadzwyczajną niedbałością czasowych onego mieszkańców, którzy nigdy zda się niemogą zapomnieć, że są tylko czasowemi mieszkańcami, i chaotycznym rozrzuceniem w szerz i w koło niego sprzętów, zasobów i zwierząt gospodarskich. Na folwarku ekonomskim jest zwykle wszystkiego podostatkiem, i w stajni i w spiżarni, i w chlewku i w oborze, i na strychu i na dziedzińcu, więcej nieraz niżeli w samym dworze; ale wszystko to niknie w powierzchowności wszystkich zabudowań i izb, obdrapanej, brudnej, śmieciem i gnojem obsypanej. Na dziedzińcu musi być gnój podwójny; tam wznoszący się pagórkami z tym rojem kur i świnek, tu znowu rozlany gnojówką, najmilszą dla kaczek i gęsi sadzawką. Ściany wszystkie bywają obdrapane, drzwi powyłamywane, dach podziurawiony, okna staremi rejestrami zalepione; okiennice jęczą za każdym wiatrem na jednym haku zawieszone; a we środku, ani już mówić o sprzętach, które są i nie liczne i nie wykuintne, by je łatwo przewieźć, albo w razie decesu, konfiskaty dworskiej i wynikłej zład ucieczki bez wielkiego postradać żalu; na tu i owdzie powydzieranej podłodze brud i śmiecie odwieczne, powiększane codzień przez rozmaitych czworonożnych

i pierzastych gości; po ścianach niepobielanych wiszą zapewne obrazki z jakimś świętym z czterma porami roku jasno i dobitnie kolorowanymi; czasem z Genowefą brabancką i rozrzuconym synem; a obok tego lub na nich, motki, woreczki z cybulą, z mąką, krupkami i innymi zasobami gospodarskimi, których jest wiele i bardzo wiele, ale że wszystko bez ładu rozrzucone, zdaje się że niema, że brak wszystkiego. Po stajenkach, chlewach i wszystkich strychach zdybać można masę słomy porozrzuconej, mierzwiastej, niepotrzebnej na pozór: a przecie nieraz podniosłszy te wierzchnie warstwy, pokażą się worki, które wiecznie giną niby, podziwiają się Bóg wie gdzie, z nie małym gniewem dziedzica, przeklinaniem ekonoma, a zmartwychwstają potem po wszystkich kątach folwarku, pełne zboża, naturalnie czelnego. Uważniejsze tylko i wprawne oko dostrzeże w pośród całego nieładu, że jeżeli to koniki tam stoją, to prawdziwie ekonomiczne, bo zapewne tłustejšie od dworskich; jeżeli się tam świnki przewracają ogrzewając słońcem, a chłodząc gnojówką, to prawdziwie ekonomiczne, bo okrągłe i utuczone aż miło. Toż samo dzieje się z krówkami, które nigdy nierozumieją przednówka ani braku paszy; to też pani ekonomowa dostarcza nieraz i nie dwa dworowi własnego masła faskami, kupionymi niby z trzeciej ręki. A kury pani ekonomowej można pójść o gruby zakład, że się najlepiej niosą w całej wsi, bo dni postnych nie znają. Jedna tylko część zagrody wygląda najporządniej; jest to ogród warzywny, który pewnie lepiej i prędzej daleko jest obrobiony, niżeli we dworze, dla którego zawsze brak pańszczyzny, obracanej na różne dla folwarku daremszczyzny. To cośmy powiedzieli, służyć może za obraz zabudowań i ładu jaki panował na folwarku, w którym od lat już kilkunastu rezydował pan Jan Pikuła.

— Ale mój Pikuła powiedz mi dla czego tu u ciebie tak brudno, tak jakoś nieporządnie — mówił nieraz szambelan, gdy mu przyszedł rzadki kaprys odwiedzić ekonoma.

— Ot zwyczajnie jasnym panie! (to było pana Pikuły faworytalne i ciągłe wyrażenie) chudopacholska mizerota.

— Ależ nieporządek!

— A gdzie czas jasnym panie! to to człowiek ani dnia ani nocy nie ma, z temi chamami przekłętymi.

— A cóż tam masz w tej stajence?

— Chudobiny nieco! i to bym sprzedać chciał, bo niech mnie piorun siarczysty trzaśnie (drugie faworytalne wyrażenie pana Pikuły) jeżeli ją mam czem utrzymać.

— A ordynarya przecie!

— Łaskawe żarty jasnym panie! Ziarno za ziarnkiem goni, żeby to jasnym pan raczył zwrócić względy swoje na dawnego słuę.

I pokornie skłonił się p. Pikuła do kolan dziedzica. Szambelan, niewielki amator takich przymówek, najczęściej

uciekał przed niemi, a choć mu czasem przyszła fantazyja zajrzeć do stajni lub chlewka, tyle zdybywał błota, gnoju i śmieci, że ledwie zajrzał przez drzwi, i oczywiście nie zobaczył.

— Czemuż nie każesz to powywozić na pole! zrobić jakiś porządek?...

— Żeby to jasnym pan raczył dać fur, albo pozwolić pańszczyzny, bo ja sam bez wyraźnego rozkazu nie śmiem.

— Zapewne! zapewne! — odpowiedział szambelan. A jeżeli dał się ułudzić, i pozwolił na pańszczyznę, zastał ją nieraz wpisaną do rejestru pańszczyznianego, i rok cały czytał: «z rozkazu jasnym pana na wywożenie gnojów z folwarku;» ale gnoj został gnojem, z którego tyle tylko wynoszono, ile było potrzeba do ogrodu ekonomicznego.

— Tłustego masz wieprzka, Pikulsiu!

— Ot mizerota jasnym panie!

— Diabła tam! — patrzaj jakie boki!

— Co to jasnym pan o tym mówi wieprzaku? kupilem go już utuczonego, i chowam na święta. Człowiek się z ostatniego zdobył. Ot, zwyczajnie na święta, dla przykładu, dla oka ludzkiego. Pietrusiu! — dodał wołając żony, głosem prawdziwie ekonomicznym: powiedzno jasnym panu, wiele kosztuje ten wieprzek.

To był już ostateczny, ale niezawodny środek pozbycia się jasnym pana, który pani Pikuliny bał się jak ognia. Wiedział bowiem z doświadczenia, że trzeba będzie słuchać całą godzinę rozmowy płacziwej pani Petronelli z Łużeckich Pikuliny, rozmowy przeplatanej dygami bez końca, i naszpikowanej westchnieniami głośniami, a oblanej sporym łez potokiem. Bo pani Pikulina, sucha i wysoka, do tyki podobna imość, i to mając wzgląd na płacziwą twarz z sterczącymi łokciowymi zębami, w czepcu o kształtach, barwach i adornamentach bajecznych, do tyki na strach wróblom wystawionej, była z domu Łużecka, a Łużeccy miewali i herby, i fortuny, póki ich los, pomorki na bydło, gradobicia, i przechody wojskowe nie zniszczyły. A te wszystkie wydarzenia losu, pomorków, gradobici, a mianowicie przechodów wojskowych za panińskich lat panny Petronelli odbywanych, były rozliczne, rozwickłe i nader rozmaite.

— I los nieszczęśliwy pogonił za mną i dopędził, aż tu pod tą gościnną i spokojną strzechą! — dodawała przewracając oczy, łzami przepełnione.

Już to Pikulina zwykła była wyrażać się dobornymi słowami, godnemi rodziny Łużeckich, i wedukacyi odebranej.

— Cóż mi po tej wedukacyi! — mówiła z westchnieniem tak silnem, aż się fręzle, szlarki i fontazie u wielkiego czepca poruszyły.

Tu następowały skargi na męża, na głupie sługi, na nierzetelności rozmaite, których doświadczyła, na rumatyzm w prawej nodze, na bicie tego nieszczęśliwego serca, na

cztery nieszczęśliwe przypadki, odbyte w pośród najokrutniejszych męczarni, opowiadanych szczegółowo i malowniczo, na stratę dwojga dzieci.

— Moje biedne niemowlęta! — mówiła z oczami w niebo wzniesionymi.

Stracone niemowlęta, były to ogromne urwisy po lat dwanaście, trzynaście mające, z których jeden umarł obżarłszy się niedojrzałych owoców z sadu dworskiego, a drugi przełaząc w podobnym celu przez płot do księżego sadu, spadł i nogę czy kark skrzył.

Tu wiatr westchnień stawał się jeszcze silniejszy, a wilgoć łez przychodziła do najwyższego stopnia. I tu występowała na jaw oku niemiła, a nosowi słuchacza niebezpieczna chustka, śladami tabaki odwiecznymi jakby kartą jeograficzną pomalowana. Bo pani Pikulina, choć Łużeczka z domu, zażywała tabakę bez miary, a była brudna do tego bezlitośnie.

Po rejteradzie dziedzica wracał zwykle pan Pikuła do folwarku w niemałym rozdrażnieniu, na które szukał lekarstwa, z ulubionej framugi dobytego w kształcie sporej burkutówki, kartoflaną wódką napełnionej. W takim razie pojawiała się także i pani Pikulina, która zapominając na znakomity ród Łużeckich, nie pogardzała śmierzdzącym, ale na bicie serca i rumatyzm i skutki przypadków, wielce pomocnym trunkiem.

— Oj ci dziedzice! ci dziedzice! — przemawiał pan Pikuła w pełny patrząc kieliszek. Wszędzie chcą swój nos wściubić, a człowiek mizerny biduje.

— Cóż chcesz Jasiu! — odpowiedziała małżonka sentencyonalnie. Zakliccy! to kiepska familia!

Oczywiście według jej zdania Zakliccy niesprostali Łużeckim.

— Niech to siarczysty piorun zatrzśnie! — wykrzyknął Pikuła patrząc w próżny już kieliszek.

— Tak mnie coś dzisiaj żołądek przeboliwa. W twoje ręce Jasiu!

— A człowiek mizerny biduje! — powtarzał Pikuła, powtarzając kieliszek.

Człowiek mizerny, był to człowiek grubopłaski, z pierśią i grzbietem jak u wołu, twarzą rumianą jak rydz, obdarzoną oczami jak cebule, nosem jak piwoniam, a wąsami szpakowatymi, rozczepierzonemi jak dwie miotły.

— Nadzieja w bogu! — kończyła Pikulina, porywając za drugi kieliszek, i w naszej Anieli!

— Głupie baby! — odpowiadał Pikuła, który po trzecim kieliszku stawał się groźny. Wam się roi w głowach i człowiek straci jeszcze miejsce przez wasze romansowe praktyki. Niech mnie piorun siarczysty zatrzśnie, jak porwę kiedy nahajkę!...

I odchodził od framugi, lecz nieprędzej od samej Pikuliny, która znała z doświadczenia mężowską nahajkę. Bo Pikułowie choć się kochali przy wódeczce, niemniej

przeto wojowali z sobą, a wojowali nie tylko gębą. W takich walkach miała wprawdzie Pikułina przewagę wysokości, ale za to Pikuła miał przewagę siły i zylastej pięści, władającej nahajką po ekonomsku, to jest doskonale. To też jeżeli w takich walkach nie obszedł się wierzch głowy małżonka bez guza, cierpiała nie po mału inna część ciała pani choć z Łużeckich Pikuliny.

Anielcia przez Pikulinę wspomniona, była to ich córka jedynaczka, z którą się później poznamy. W tej chwili bowiem musimy przystąpić do pierwszej sceny naszej powieści, której obraz folwarku i obojga Pikułów służył za wstęp tylko.

Owóz panowało dnia tego ogromne zamieszanie i ruch niepospolity na folwarku ekonomskim. Był to zaś dzień już wiosniany i pogodniejszy, niż się to u nas zwykle zdarza w kwietniu; dzień niemałej wagi dla folwarku, dla dworu i dla całej okolicy, bo to był wielki czwartek, obchodzony nie tyle nabożeństwem, ile wielkanocnymi przygotowaniem, dającymi u nas tyle zajęcia i kłopotu, gospodyniom wielkiego czy małego dworku. I ruch ten przygotowywał w całej wsi panował, objawiany głównie dymem komińowym, który ze wszystkich chat wychodząc, wisiał nad wsią, jakby mgła wiosenna, słońce zasłaniająca, i roznosił wszędzie smród spalenizny i dymu słomianego, wsiom podolskim, gdzie najczęściej słomą palą, właściwego. Trzeba bowiem wiedzieć, że tego właśnie roku obie wielkanoc, łacińska i ruska, schodziły się razem.

Dziedziniec folwarczny jakkolwiek był obszerny, zapełniony był chłopkami, którzy niedowierzając wiosnie kalendarzowej, przechadzali się po nim i pchali ku drzwiom wchodowym, otuleni w kożuchy i w wielkich wysokich czapkach baranich. Już to czapki te nie spoczywały tym razem na podgolonych głowach, ale w rękach okopconych i osmolonych, co było dowodem wielkiego uszanowania dla jeneralnego ekonoma, czyli raczej wielkiej potrzeby, jaką każdy z przytomnych miał, by zaskarbić sobie łaskę tej najważniejszej na wsi figury. Działo się to bowiem jeszcze w roku 1843. Równie jak na dziedzińcu pełno było i w sieniach, pełno w pierwszej, dosyć obszernej izbie, która była izbą bawialną i kancelaryą pana Pikuły razem. Pan Pikuła siedział za stołem, mając przed sobą rozmaite rejestra, a na sobie minę wielce uroczystą i srogą zarazem, co świadczyły jego oczy, jeszcze więcej wytrzeszczone, i wąs najeżony niepospolicie. Pan Pikuła bowiem odbywał kwartalne rachunki pańszczyzniane, które nie bez ważnych przyczyn odłożył na wielki tydzień. Za panem Pikułą, o krzesło, na którym zaczął siedzieć ekonom, oparty stał starozakonny jakiś. Był to typ podwójnego rodzaju, typ jaki tylko na naszym galicyjskim podolu w stronach nadgranicznych zdybać można, typ zwykłej żydom lisiej przebiegłości, która wyglądała z jego kocich oczów o wzroku trochę zyzowatym, z jego nosa spiczastego, a

nawet z tych naturalnie jakby w kołtun pokręconych włosów, pejsów i brody ciemno rudawych: typ oraz niepospolitej siły moralnej i fizycznej, której dowodem były usta naprzód wydane i ściśnięte nieco, szeroka i zawieszista twarz, ręce żylaste i grube, wzrost wielki, i cała postawa barczysta, zawadyacka prawie. Bo na pograniczu podolskiem, żydki siedzące po wiejskich arendach od dziada i pradziada, prócz ulubionego szynkowania, trudnią się także prowadzeniem kontrabandy, dającej im wielkie zyski ale też i wielkie niebezpieczeństwa. I rzecz to dziwna, ale o której przekonać się łatwo, jak ten ród żydów, zwykle tchórzliwy, staje się w tych okolicznościach odważnym aż do zuchwałości. Jest to zapewne czysto żydowska odwaga i zuchwałość, drżąca nieraz całym ciałem, ale idąca w razie potrzeby przebiegiem przez strzeżoną granicę, wystawiając się na straty i zacięte bójkę nawet. Prawda, że najczęściej tacy kontrabandyści zbierają się zawsze większymi gronami, i zwykle do walk podobnych stają w znaczniejszej od przeciwników liczbie. Niemniej przeto dowiedziona jest rzeczą, że żyd wszystko zrobić gotów dla zysku, kiedy nawet nabywa odwagi, tej zupełnie nie żydowskiej właściwości.

(D. c. n.)

Obrzęd weselny.

(Dokończenie.)

Wkoło po obwodzie stała dziadów rzesza,
Tłum biedny, znędzniały, burzy się i miesza.
Darmo do porządku zachęca i woła
Mistrz ich, nędzarz także, lecz z dumnego czoła,
Z uczesanej brody, z ogromnej postaci,
Widać, że jest władzą swęj żebraczej braci.
Przed tą dziadów rzeszą, wyrobiona z ciasta
Dość wyraźnych rysów z dziećmi szła niewiasta,
I owe dostatki co pokryły błonia,
I pola, dzieliła pomiędzy żebraki.
Jeden z nich dar cały pochwycił w swe dłonie,
Broniąc się od braci, co jak dzikie ptaki,
Dar mu wydzierają. Bronią go krewniaki,
A dumną postawą przechwalać się zdają
Dziadowskim swym rodem, długą przodków zgrają;
Z czystej bowiem rasy dziadowskiej pochodzą,
I z nich się krwi czystej także dziady rodzą.
Górą ponad nimi z trzaskiem i hałasem
Wzlatują palice. Mistrz przybiegł tymczasem,
Pałką w kołczystego uzbrojoną jeża,
Po uszach, po nosach kalecząc uderza.
Z tego zamieszania, nieładu i wrzawy,
Wydierał się starzec wspaniałej postawy,
A w ręku unosił broniąc od rozbicia
Osłode niedoli, przyjaciółkę życia,
Tęskno-brzmiącą lirę. On nie żądał daru,
Chciał tylko swą lirę unieść z pośród gwaru;
Nad królewskie dary, nad złota dostatek,
Milszą mu nagrodą z czułej ręki kwiatek.
Te i inne dzieje na tym korowaju
Były przedstawione w środku i po kraju,
Szacowne nie z dłuta, nie z biegłości ręki,
Ale ze znaczenia; z myśli, nie z sukienki.

W środku raj, małżeństwo, wokoło obfitość,
A kobieta z dzieckiem: współczucie i litość.

Pan Mateusz myśli te gościom tłumaczyć,
A pan Szymon nożem korowaj poznać,
Raj odciał dla młodych, resztę w części wiele
Pokrajał i całe obdzielał wesele.

Lecz na coraz mniejsze musiał ciąć kawałki,
By nikt wyłączony nie był od podziąki;
Bo wciąż nowi goście domek napełniali.
Ksiądz rektor zawitał i łacińskim rymem
Przemówił, a za nim Pająk strojny w gali.
A krupnik wciąż kipiwał i pijanym dymem
Otaczał jak chmurą gości, co siadali
Poza długie stoły, wychylając czarki
Wonnego krupniku, albo tegiej starki.
Gospodyni w misach w długie rzędy stawia
Potrawy z owoców, jarzyn lub mięsiwa,
Dymiące się jeszcze rumiane pieczywa,
W gliniastych krzyżowach, jak pieczone były.
Ksiądz rektor koleją wszystko błogosławi.
Zabrzękały łyżki, głucho zadzwoniły
Rozstawione w rzędy cynowe talerze.
Na które jedzenia każdy z gości bierze.
Żywo zajadała wesoła gromada,
Lecz ledwie wypróżniać rozpoczęło misy,
Z potężnych gąsiorów zaszumiały miody,
Na twarzach zajaśniał jakiejś blask pogody.
Nabierały życia biesiadników rysy,
Zaczął żywo spijać sąsiad do sąsiada,
Teraz się zupełna zaczęła biesiada.

Zakipiały gwary, zawrzały powieści,
Które tam prawiono w rozmaitej treści,
O tych starych czasach, gdy każde wesele
Choćby najbiedniejsze, trwało dwie niedziele.
Ksiądz rektor z baronem siedzący pospołu
Prawił, jak wielkiego wymaga mozołu
Wychowanie młodzi, której duch surowy
Jest ową marmuru niekształtnego bryłą:
Technienie jeniusza do niej nie wstąpiło.
Aż oto mistrz kształci ją dłonią Kanowy,
I tej bryle ducha wyraziste, dzielne
Dał rysy, i życie wlał w nią nieśmiertelne.
— »O łatwiej, rzekł Pająk marmurowe bryły
Ciosać, tem je robiąc, czem jeszcze niebyły,
Niż z wrzącego ducha surowej młodzieży,
Wyrobić postacie jakie się należy,
I jakie sam pragniesz; bo marmur cię słucho,
Trudno zaś pod cyrkiel jąć bujnego ducha.
Na to rzekł gospodarz, panny młodej rodzic:
— »Jak Bóg błogosławi, chłop, czy wojewodzie
I bez filozofii ślicznie się uchowa,
Dusza się ukształci i zmądrzeje głowa.
Jeśliście cierpliwi, powiem wam o sprawie,
Jaką miał przez syna, kiedym był w Warszawie.
Pamiętam jak dzisiaj, choć to więcej roku,
Był on na paradzie, więc stanąłem z boku,
I czekałem końca. Aż tu przystępuje
Wystrojony syn mój, w rękę mię całuje.
Tu starsi nie mogli pojąć w żaden sposób,
Że z chłopem się wita w obec tylu osób,
I ciekawi byli, kto ja jestem taki,
Jak sam wódz naczelny, tak inne wojski.

Z końcem więc parady pan naczelnik głosi
Obiad dla starszyny, wiele osób prosi;
I mnie też wezwano razem z moim synem,
Co sobie starszyny ujął takim czynem.
Bo się wielkim panom bardzo podobało
Że się syn niewstydił ucieć głowę białą
Ojca choć w sukmanie. Wódz pił moje zdrowie,
A w kolej tak samo i drudzy panowie.”

Baron wysłuchawszy, szklanice postawił;
W czoło się uderzył, kontusza poprawił,
I rzekł: „Toż mosanie, o zdarzeniu całym,
Jak było w karnawał tak roku słyszałem.
Na balu w Warszawie, gdy byłem maskowym;
Dorodny młodzieniec w mundurze wojskowym
Obudzał zajęcie, bo miał fizys miłą,
Jakiej się mi nigdy widzieć nie zdarzyło.
A jego też moja Elżbietka zajęła
Swym hiszpańskim strojem, który w onczas wzięła.
Albowiem o całym zapomniiał wieczorze,
Siedząc przy maseczce w hiszpańskim ubiorze.
Wtem go towarzysze na bok odwołali.
Razem z nim odchodząc w drugi koniec sali.
Owóż mój przyjaciel, Skrzynecki generał
Na pochwałę syna ten mi sam wypadek
Opisał, na który patrzył jako świadek.
A pan ułan ciągle ku nam coś spojierał.
Pono i Elżbietkę zajął był młodzieniec:
Jam wszystko uważał, a jednak udałem,
Żem nic niepojmował, i niespostrzegałem.”

Szczęściem, że się obiad kończył, bo rumieniec
Najpiękniejszej barwy na Elżbietki lice
Wystąpił i zdradził serca tajemnice;
Spłoniona, zmieszana, ujawszy pod rękę
Pannę młodą, wyszła do ogródka społem;
A młodzież, zaczęła o chmielu piosenkę,
Goście się zaś śmieją słuchając za stołem.

Tam śpiewy i gwary, tu dziewcząt drużyna
Do weselnych zabaw dodaje ochoty;
Kapela nastraja na weselsze zwroty
Godła muz. A każdy takt nogą wycina.
Tylko pan Franciszek, od niejakiej chwili,
Kiedy się najlepiej wszyscy weselili,
Mocno się zamyślił, brwi nasepił ciemne;
Czerniał wąż sitarski, a milejące lice,
Zwiastowały skryty grom i błyskawice,
Co wstrząsały duszą, jak ognie podziemne.
Stał poeta milcząc, ręce załamane,
Czoło pochylone. Zwykła to postawa,
Była tego wieszczu. W jedną ciągle stronę,
Miał utkwione oczy, gdy wrzała zabawa.
Zwolna dźwięk muzyki, i wesoła wrzawa
Rozbroiły gromy, wrzące w głębi ducha.
Tak gdy w ciemnych chmurach huczy zawierucha
I wrą błyskawice, lud na wieży szczyty
Co żywo pośpiesza, gra we wszystkie dzwony,
Aż obłok piorunem groźnym uzbójony,
Zwolna się rozsunie, zabłyszczą błękity,
I różana tęcza zagra na obłoku,
Tak niebo zabłysło u poety w oku.
A w poety piersiach cudnym głosem dzwięczy,
Czarodziejska piosnka, którą lud powtórzy,

Wkrótce ust milionem, barwniejsza od tęczy,
A tak pożądana, jak tęcza po burzy.

David.

Najnowsze dzieła.

WIECZORNICE:

Powiastrki, Charaktery, Życiorysy i podróże

zebrane przez

Luciana Siemieńskiego.

Tom pierwszy.

Jak sam tytuł książki dowodzi, jest to zbiór rozmaitych przedmiotów, pomieszanych i poskładanych razem na los szczęścia, a zatem niemogących mieć wybitniejszej cechy jednolitości, prócz cechy chyba, jaką każdemu z zebranych przedmiotów, talent autora nadać potrafi. Drobne tego rodzaju szkice są tem u piszących autorów, mianowicie u beletrystów, czem opiłki i obrzynki u złotnika, wyrabiającego nieraz kunsztowniejsze dzieła. I jak u złotnika używającego do wyrobów swoich rozmaitych kruszców, znaleźć można w takich zbiorach kawał czystego złota obok mosiądzu i innych kruszczowych, mniej szlachetnych mieszanin. Francuzi to są prawdziwi mistrze w podobnych zbiorach, któremi zapełniają księgi rozmaitej objętości, rozmaitemi tytułami i okładkami obdarzone, a o których mówiąc, możnaby użyć przysłowia polskiego, że: skórka nie starczy za wyprawę. My nie mamy tego talentu pisanie razem o niczem i o wszystkim, z tą pewną, powierchownie połyskującą gładkością, która u Francuzów jest niczem innem, jeno talentem przenoszenia tej lekkiej francuskiej pogadanki (causerie) na druk. I sumienniejsi może w tym względzie, niedaleko posunęliśmy w sztuce spekulacji literackich, których najkorzystniejszą częścią są podobne zbiorki. Ten o którym mowa tomik pierwszy zbioru p. Luciana Siemieńskiego, poczyną się od przemowy adresowanej, do panny Alfonsy M., w którym autor tłumaczy pamiątką wieczorów, mile na czytaniu kiedyś przepędzonych, tytuł książki, i zawiera dalej stosownie do tytułu, dziesięć rozmaitych artykułów, bądź dawniej już znanych i drukowanych, bądź nowych zupełnie. Obok słabszych i błędziej odcieniowanych szkiców, są inne mające rzeczywiście większą wartość artystyczną, w których z przyjemnością poznać można wprawne i znakomite pióro autora tylu prawdziwie pięknych dzieł, bądź prozą bądź wierszem pisanych. Zbiór ten zaczyna się od powieści: Cień królowej Barbary dawno nam już z Ziewonii znanej. Występuje w niej nasz Twardowski, i wywołuje przed królem Zygmuntem Augustem, cień jego ulubionej i tak serdecznie żalowanej Barbary. Cień ten przedstawiała żywa dziewczyna, wyratowana kiedyś przez Twardowskiego z rąk rozhukanego ludu, którą uzdolniało do tej roli niejaki do zmarłej królowej podobieństwo. Dziewczyna ta wyuczona przez Twardowskiego w sztuce czarnoksięskiej,

młoda, przystojna i przebiegła, stała się później kochanką króla, i głośną dosyć, ale nieczystą uzyskała sławę pod nazwiskiem Barbary Giżanki. Jest to niewielki, nie bez wdzięku napisany szkic, mogący posłużyć do powieści obszernej i pełnej historycznego i romantycznego interesu. Po tej powiastce idzie z kolei kochanka hetmańska, powieść z dawnych czasów. Z jakich ona czasów pochodzi trudno pomiarkować; jakoż nie postarał się o to autor, ani wyborem przedmiotu, ani obrobieniem jego. Zdarzyć się mogło coś podobnego za dawnych czasów, ale czy u nas a przynajmniej w takiej idealnej szacie, niech nam będzie wolno powątpiewać. Bohatyrem i to prawdziwie romansowym, jakby z pani Cottin wyjętym bohaterem jest hetman polski, powracający ze zwyciężkim orężem z jakiejś dalekiej perekopskiej wyprawy. Chociaż ma i hetmanową, żonę i hetmańskich potomków, ujrawszy w kościele Nastusię zakochał się w niej. Nastusia była prosta i uboga dziewczyna, ale szlachcianka, mieszkająca w jakiejś chatce nędznej i pracująca na życie pięknymi rączkami. Naturalnie i ona pokochała hetmana, a więc kochają się oboje, i za pomocą niekoniecznie zrozumiałej baby czarownicy, są sobie szczęśliwi, szczęściem wielce romantycznym, choć niekoniecznie na dawne czasy mianowicie, prawem i prawdopodobnem. Hetmanowa dowiaduje się, ale że to dzieje się za dawnych czasów więc miasto gniewu i zemsty, odwiedza ubogą chatkę, extazuje się nad pięknnością Nastusi a nawet w niebytności męża posyła jej dywany, makaty, i swoje własne nawet łóżko małżeńskie. Ten rodzaj zapewne dawnych niby czasów godnej zemsty, skrusza serce Nastusi. Pada do nóg hetmanowej, przeprasza i płacze, pisze nareszcie list do hetmana, żegnający go. Szkoda wielka że niema tego listu, któryby uzupełnił tę powieść z dawnych czasów. Wchodzi hetman; scena czuła i patetyczna; Nastusia idzie do klasztoru i staraniem hetmana zostaje xienią onego. Styl tej powieści jest ładny, a nawet szkoda go na ten przedmiot, nie wiele zaprawdę mający wartości. Do słabszych także tego zbioru artykułów należą: Przypadki Karola Chełkowskiego w podróży z Tunis do Konstantyny. I przypadki nie ciekawe i opowiadanie nie zbyt staranne. Za przypadków nieciekawość nie można zapewne winić opisującego one, równie jak i za opowiadanie niedbałe i żadnego niewzbudzające zajęcia. Bo musiał zapewne spisywać tylko, co się zdarzyło panu Chełkowskiemu w onej podróży, i przekopijował wiernie sposób w jaki tenże opowiadał swoje przypadki. To chyba tylko można by powiedzieć, że przypadki te niekoniecznie warte druku, bo nie dają nam żadnego lepszego wyobrażenia, ani o kraju przebyłym, ani o ludziach, ani też o obyczajach. Ważną musiała być ta podróż dla podróżnika, który mnogie przeżył niebezpieczeństwa, i razy kilka obdarty do naga, przebywał puszcze w stanie natury, ale czytel-

ników niekoniecznie zainteresować potrafi. Przypadki te przypominają trochę owe swoich czasów, sławne literacką polemiką, a dziś zapomniane Pamiętniki krawca i wiarusa Dmochowskiego. Aby ze słabemi od razu skończyć artykułami, powiemy pokrótce, że w tomie tym jest jeszcze jeden obrazek: „Ekonom.” Niektóre strony tego rodzajowego obrazku są z prawdą i humorem oddane, i mogą zawsze znaleźć miejsce w zbiorze podobnych szkiców typowych, których potrzebę autor na wstępie z wielką podnosi słusznością. Jest jeszcze jeden czy szkic czy obrazek, a raczej anegdota o „Posłach Siewierskich,” którzy jadąc z Siewierza do biskupa krakowskiego z rozmaitemi poleceniami, pijąc na pożegnanie, pijąc po drodze, zapomnieli o nich zupełnie, i przyszedłszy przed biskupa ani be ani me nie potrafili powiedzieć, ale szczerem wyznaniem wykręcili się jakoś u pocziwego biskupa. Na obrazek jest to za pobieżnie i za krótko zeszkicowane, a na anegdotę za długo. Są nareszcie dwa małe ustępy estetyczne, jeden „o miłości w poezyi i w świecie rzeczywistym,” drugi: „Duch i Symbolika w sztuce.” Jak wszystkie podobne próby estetyczne, dotyczą one przedmiotów wymagających szerszego i głębszego rozwoju, samą swoją czy ważnością, czy objętością, a właściwie nie a przynajmniej bardzo mało wyczerpują. To wszakże co w nich autor dotknął, mianowicie w drugim ustępie, gdy mówi o duchu symbolicznym w dawnych gotyckich budowlach, aczkolwiek nie nowe i przez Francuzów daleko już szerzej rozwinięte, jest napisane z wielkim wdziękiem, a nawet zdołał w tem autor rzucić na ten przedmiot urok myśli głębszej, żywej i prawdziwej.

(D. n.)

Listy Babiogórskie do „Nowin.”

LIST II.

Z pod Babięj góry, dnia 8. marca.

Do Nowin.

Przecież może już dosyć wyhasałyście się na tyłu balach, balikach i zabawach domowych! Może z wielkim postem nabrałyście ducha do poważniejszych kontemplacji, a dla skupienia rozstrzelonych w czasie karnawału myśli, może nawet pragniecie usunąć się od zgiełku hałaśliwego świata? Nuż tedy za mną pod Babią górę! Jeżeli mającą w was jeszcze jakie figlasy zapustne; wnet je tu rozwieją babiogórskie zefiry, które swoim dziwnie harmonijnym poświętem będą przedrzeźniać nawykłym pieszczotliwym apostrofom i epifonemom: ach! oh! ha! Śmiało sobie tylko zabierzcie teleskopy astronomów, łańcuchy mierników, worki botaników i torby mineralogów; a tak szybujcie nadpowietrznym balonem po nad Przemyśl, Dubiecko, Jasło, Sącz, Limanową, Mszaną, i Rabkę aż do Jordanowa. Tu was zapraszam w gościnę; bo z tą jakkolwiek niewłaściwie, ale z pewnych uwag, które się później same wyjaśnią, rozpoczynam najprzód przyobiecany wam opis babiogórskich okolic. Powtarzam, do czego w pierwszym przyznałem się liście: że nie jestem ani powieściopisarzem ani poetą; w moim opisywaniu niebądźcież zatem zbyt wymagającemi. Teraz do rzeczy.

Trzechmilowy gościniec z Jordanowa na Maków do miasteczka

Suchy, przerzyna pasmo gór, ciągnące się w półkolu od grzbietu Babiej góry na północ. Po lewej stronie gościńca (biorąc od was,) leży gdyby zakłęty wśród najeżonych i skalistych, poniekąd nagich lub lasem obrosłych gór, które w łamanich swoich formują kotliny, wąwozy, doliny, głębokie jary albo też przepaściste urwiska, ów kawałk ziem, nad którym bezpośrednio Babia góra króluje. Wszakże niecały ten obszar zamieszkują babiogórscy górale. Właściwą ich siedzibę zwińdźmy później; teraz poznajmy trzy miasteczka, które stoją jak na straźnicy tego zakątka, a w których osobiście na jarmarkach wyskakują na jaw śród masy innych gór, odrębna nawet co do powierzchni Babiogórców cecha. Temi miasteczkami są: Jordanów, Maków i Sucha. Dzisiaj podaje wam:

Obrazek Jordanowa.

Licha to i oswiała mieszcina. Zbudowana na wzgórzach i wieńcem niekształtnych gór opasana, żadnych prawie pięknych nie odsłania widoków. Rynek dosyć obszerny i kwadratowy; ale zamiast zdobieć, szpeci go najhanebniej w samym prawie środku stojący, czyli raczej pochylony, stary, nadbutwiał i obszarpany ratusz. Jeżeli mówię „ratusz“ to przemawiam językiem prostego ludu, który lada obdartą szopę lub budę, byleby tylko na środku rynku stała, zaszczyca mianem ratusza. Tu i owdzie widać wprawdzie porządne i czyste obielone domki; ale reszta ciągnie się sznurowo gdyby pod jednym dachem wśród śmieci lub błocka, osobiście, gdzie żydzi się gnieźdzą. Jedyną ozdobą miasteczka jest kościół, stojący po lewej stronie miasta, który, lubo nie okazały co do powierzchni i zewnętrznej struktury, odznacza się jednak starożytnością i wewnętrzną schludnością. Wybudowany r. 1576 przetrwał kilka innych, które tu później wystawione tylko krótko istniały. Podziśdzeń jest on filialnym kościołem, należącym do Łętowni, wioski o trzy ćwierci mil odległej. Ludność miasteczka składa się z 1065 katolickich a 105 rodzin żydowskich. Mieszczanie dosyć silnego wzrostu, smagławi, ściągłej i ogorzałej lub śniadawej twarzy, oczu mdławych lub siwych, wyrazu czupurnego, trzymają wiele na osobistą odwagę i zasób zebranych doświadczeń. Pracowici i pobożni, utrzymują w największej czci pamięć zmarłych rodziców lub krewnych; a zwyczaj religijny z największą obchodzą skrupulatnością. Izby, które zamieszkują, przyozdabiają wliczne obrazy; ale po największej części kalwaryjskie lub częstochowskie, których pędzel dostatecznie znany. Przed obrazem Matki Boskiej wisi cynowa lampa, która się co sobota regularnie zapala. O świecie słycały matrony odśpiewujące godzinki, a na pierwszy odgłos kościelnego dzwonka, zbiera się wszystko i krząta, aby nieomieszkąć mszy ś. — W niedzielę wszystko omieciono, oczyszczone. Otwiera się skrzynia, a z niej wyjmują najprzedniejszą bieliznę i ubiór. Starsi trzymając się przeszłości, zachowują staropolski strój: kapoty, spodnie do wysokich butów i czapki futrzane z zawiasami; młodszy więcej z waszecia, noszą surduty po kostki, pantalon na buty, chustkę związaną grubo na szyi i kołnierze jak szable, kawalerowie różnią się tużurkami różnego kroju, z po za których wyglądać musi koniec chustki od nosa, kamizelka odsłania półkoszulek ze spinką, szyję zdobi chustka czerwona z fontaziem, sztruple mustrują czasem za krótkie spodnie, zbrukane rękawiczki kryją kosmate ręce; ale za to czapka na bakier znamionuje zucha! I co do ubioru kobiet, wielka zachodzi różnica. Kobiety w podeszłym wieku trzymają się dawnych jupek, które przyjacielkami zowią, kołpaczków czyli czapek bogatych, gorsetów i spodnic; młoda ich jednak już liczba; młodsze biorą się do kaftaników, a dziewczęta do sukienek, szlafroczków, szlarczek i t. p. niedługo pojadą zapewne Jordanowscy żydzi do Krakowa po parasolki, glacie rękawiczki, kapotki i kapelusze. Kto by myślał: że ta mania wynarodowienia się pod względem stroju, docisnie się i tu do dzie-

ci góralskich!! Ależ tak jest i w dzień powszedni lub w jarmark udzie za kukiełkami, chlebem lub jaką faryną siedzieć w staropolskim odzieniu, oczywiście aby go jako dotargać; ale w niedzielę trzeba koniecznie ubrać się modnie, precz więc z staroświecczyną! Co gorsza, nawet język narodowy ulega modzie. Starsi szanują tych zasad gramatycznych, które im przekazali w puściźnie przodkowie; ale te młode sroczki kaleczą go okropnie nieumiejętnym naciąganiem na delikatniejsze wysłowienie się: n. p. jak też to skaradnie beczą te owcze i t. d.

Pod względem przemysłowym, miasteczko to, chociaż na trakcie, wcale nieznacznie zajmuje miejsce. Wiecie zapewne z sprawozdania P. Szwarca umieszczonego niedawno w „Czasie“, że prócz trzech kupców katolickich i kilku kramów żydowskich, niema tu żadnych fabryk ani większych przemysłowych przedsiębiorstw. Cały handel i przemysł objawia się na jarmarkach, które osobiście na bydło są dosyć w okolicy sławne. Żydzi jordanowscy nie czekają tak rzadkich przekąsków, naładawawszy do worka rozmaitych perkalów, cyców, jaskrawych chustek, i innych, jak tu mówią: szmat, bierze mój żydek ten worek na plecy, zwija się w kłęb, wtyka fajkę do gęby i tak wędruje nawet i w zimie z tym towarem od wsi do wsi, od chaty do chaty i albo go ze zyskiem sprzedaje, albo za przędzę przemienia. Często wraca napowrót we worku skórki z królików, kun lub zająców, szczecinę, lisie ogony i t. p. (D. n.)

Rozmaitość.

* Kraków 12. marca b. r. — „O czym marzyć?.. świat tak pusty!“ — śpiewał wieszcz „Katedry na Wawelu“ — zapewne w chwili, gdy uderzając kolejno we wszystkie strony światowego życia, miasto jakiej nowej, nieznannej mu jeszcze pieśni, same tylko stare, z czasem obłuchane dolatywały go dźwięki. Ale mniejsza oto, jakie powody mogły do podobnego zdania nakłonić poetę; na teraz dosyć nam wiedzieć, że tej myśli zupełnie sprzyjam w niniejszym położeniu moim, w dowód czego położyłem ją na czele tej korespondencji. Wprawdzie pustki tego świata ograniczam na samym tylko Krakowie, a najdalej i przedmieściach jego. — „O czym pisać? świat tak pusty!“ — i nader puszczam myśli w kilkunastodniową przeszłość tej starej Jagiellońskiej stolicy, w nadziei doniesienia wam coś nowego a ciekawego, milczenie do koła, nowinki śpią, a jeżeli się jaka przypadkiem z twardego snu obudzi, powtarzając, pewnie bym was nią nieucieszył. Przez dwa miesiące zapust scena życia krakowskiego, wśród ogólnej ochoty aktorów, i dla obojętnego widza dość zajmujący i wesoły przedstawia widok; odkąd atoli przebrzmiały ostatnie akordy karnewałowej muzyki, nudy powszechnie aktorom i widzom przypadły w udziale, a przedstawienia sceniczne przybrały charakter podobny do jakiejś 5cio aktowej komedii niemieckiej, albo 8mio aktowych dramatów pani Birch-Pfeifer. Obecnie polityka zajmuje wyłącznie umysł publiczności naszej. „I cóż tam słycać?“ „Czytałeś ten lub ów artykuł Czasu?“ i tem podobne frazesa zastępują dawne: jak się masz? jak ci się powodzi? Toż jak dzień boży długi, w sklepach, cukierniach, kawiarniach i restauracjach, gdzie tylko trzymają jakie pismo polityczne, w formalnem zastaniesz je obłożeniu. Ciekawość, a ztąd niepoohamowana chęć do plotek, z dawien dawna stanowi jedną z główniejszych wad krakowskiej publiczności. To też i łatwo sobie wyłomaczyć można, dlaczego „Czas“, który z kolumn swoich wyklucza o ile możliwości wszelkie baśnie i niedorzeczne nowinki, jakimi powszechnie wiele z zagranicznych dzienników czytającą publiczność dlatego obdarza, by je jutro odwołać, w porównaniu z ostatnimi, od wielu u nas tak mało ceniony bywa.

Od kilku dni bawi tu amerykańska rodzina nadpowietrznych taneczny pod dyrekcją pana Cottrely z Nowego Jorku. Zgrabność połą-

czona z niejaką gracyą, i pewność w wykonaniu każdego po większej części niebezpiecznego skoku, świadczy o wieloletniej praktyce starszych a o wrodzonej zdolności młodszych członków tej familii. Lecz pytamy się dzisiaj każdego: do czego doprowadza podobne zatrudnienie mizolne, a prawdziwie marnowanie czasu? Czyliż jeden i drugi, którego smutnem jest dziś przeznaczeniem, przed publicznością nadpółwietrzną koziołki wywracać, niemógłby zajmować z czasem pożyteczniejszego i chlubniejszego stanowiska w społeczeństwie ludzkim, gdyby nad ich wychowaniem litościwsze serce czuwało, jak lada jakiego wydrwigrosza, co krwią i potem sierot, nabytych powiększej części w niezbyt sumienny sposób, zaniedbując ich wykształcenie duchowne, wyłamuje im członki na wsze strony, by mu na przyszłość, wyuczone jak psy lub małpy, za trochę nędznej strawy sówite zbierały zyski? Przypuszczam, że wszelkie ćwiczenia gymnastyczne jako dodatek do wychowania, wykształcając ciało nie tylko na nasze zdrowie, ale i na część duchowną, korzystnie wpływać mogą (o czym nas sama historia starej Grecji przekonacoby mogła, gdzie uwieńczeni na olimpijskich igrzyskach poeta, historyk, lub rzeźbiarz walczył w gonitwach o wieniec laurowy), oddanie się jednak wyłącznie zatrudnieniom podobnego rodzaju było i będzie zawsze politowania godnem.

B.

* **Szkoła organistów we Lwowie.** Zapewne nie wszystkim wiadomo, iż w naszym mieście istnieje zakład do wykształcenia organistów, który utworzony został jeszcze w roku 1841, a teraz wcielony jest do miejskiej głównej szkoły wzorowej. Założycielem tego instytutu jest ś. p. Kanonik Bem, a podniesieniem tegoż zajmował się głównie ś. p. arcybiskup Franciszek Pisztek. Kurs jest na dwa lata podzielony, a uczą nie tylko gry na organach ale i śpiewu choralnego. Co roku bywa 15 do 20 uczniów, z których 7 najpilniejszych pobiera stypendya po 60 złr. rocznie.

Przeszłego wtorku dnia 7go marca odbył się popis uczniów tego instytutu, który był niezaprzeczoną dowodem, jak wiele pan Piotrowski, nauczyciel tego zakładu zadaje sobie pracy z uczniami, którzy żadnego przedtem wykształcenia w muzyce nie mieli, skoro w krótkim czasie tak biegle grają i śpiewają. Najpierw uczniowie odśpiewali „Veni Creator”, potem nastąpiły pieśni kościelne, a w końcu śpiew choralny. Radca gubernialny pan Höpflinger-Bergendorf był obecny przy tym popisie.

* **Przypadek mazura w Wiedniu.** — Zdarzenie prawdziwe. Pewien obywatel pojechał w interesach do Wiednia, a że to był obywatel o pięciu wioskach i jednym miasteczku, a przytem człowiek dawniejszej daty i obyczajów, wziął tam ze sobą oprócz lokaja i furmana, także niemieckiego kucharza i kucharzycę, mazura. Razu jednego wysyła kucharz naszego mazura po ocet, nakazując mu, mówić tylko przez cały czas *Essig, Essig*, to mu już kto pokaże, gdzie go ma kupić. Idzie mazur, powtarzając ciągle *Essig, Essig, Essig*, lecz nakoniec zapatrzywszy się biedny, zapomniał o swoim *Essig*, i tylko jeszcze syczał przez zęby. Jakiś miłosierny Samarytanin, myśląc że go bolą zęby, i niemogąc się z nim porozumieć, zaprowadził go do cerylika z tem zleceniem, aby mu tenże bolący ząb wyrwał. Ten podaje naszemu mazurowi krzesło, pokazuje mu, aby usiadł, sam zaś poszedł tymczasem do drugiego pokoju po narzędzia. „Ach jakies tu grzeczne ludzie, zaraz biednego cęka siedzieć proszą” mówi uradowany mazur. Wychodzi cerylik, przybliża się do swego pacjenta, i wyrwa mu bez ceremonii pierwszy lepszy ząb. Biedny mazur osłupiał, myśląc, że tu taki zwyczaj, i siedzi cicho, ale niemoże się wstrzymać od płaczu. Gdy wypłukał usta, mówi do niego nasz artysta: „*Bezuhl!*” Pocziwy mazurzynsko sądząc, że to się tyczy jego płaczu, mówi obcierając sobie rękawem oczy: „Oj ty by tak becał, żeby ci zdrowy ząb wyrwali”. Cerylik, niemogąc się z nim porozumieć, i widząc w jego ręku pieniądze, przeznaczone na kupienie octu, wyjmując mu je a

samego wyprowadza za drzwi, niezważając na jego prośby i krzyki, aby mu przynajmniej pieniądze oddał. I tak biedny nasz mazur z zadziwieniem wszystkich przyszedł cały zapłakany, bez octu, bez zęba i bez pieniędzy do domu.

Bał u JEx. hr. Lewickiego nie na 19. t. m. ale na później odłożony został.

Jutro na korzyść pana J. N. Nowakowskiego, przedstawienie dramatu historycznego w 4ch aktach: **Zofia Morsztynówna** z czasów Augusta II. z pewnością nastąpi.

Wkrótce amatorowie przedstawiają na teatrze tutejszym **na dochód ubogich** dwie komedye, jedną polską, a drugą niemiecką.

Na dochód panny Szuszkiewiczówny dana będzie wkrótce komedya oryginalnie przez Stan. Bogusławskiego napisana, pod tytułem: **Stoliki magnetyczne.**

Przyjechali dnia 13. 14. i 15. marca do Lwowa:

PP. Heruth Franciszek ze Stanisławowa. Nahujowski z Kropiwnik. Siemianowski Franciszek ze Siemiginowa. Komarnicki Jan z Magierowa. Hr. Łoś Włodzimierz z Dołzanek. Werner Antoni z Buska.

PP. Turczyński Jan z Żółkwi. Pierchała Ignacy z Uszkowic. Wybranowski Roman z Kołomyj. Androszewski Ignacy z Porzyc. Olanowski Teodor z Mostek. Stankiewicz Erazm z Podlisk. Borowski Egidiusz z Sambora. Biliński Jan z Huty. Matlachowski Albert z Złoczowa. P. Hirschler Franciszek z Horodysławie.

Wyjechali dnia 13. 14. i 15. marca ze Lwowa:

PP. Zadarnowski Karol do Złoczowa. Lewicki Józef do Złoczowa. Krzczunowicz Deodat do Kopyczyniec. Jenerał Batky do Kołomyj.

PP. Hr. Siemiński Józef do Bartatowa. Antoniewicz Antoni do Brzeżan. Truskowski Henryk do Złoczowa. Rzyman Jan do Brodów. Węgłowski Konstanty do Zameczka.

P. Hr. Dunin Borkowski Seweryn do Stanisławowa.

Kurs lwowski.

Dnia 16. Marca.	gotówką	towarem.
Dukat holenderski	złr. 6 kr. —	złr. 6 kr. 4.
Dukat cesarski	6 " 4 " 6	8.
Półimperyał zł. rosyjski	10 " 30 " 10	34.
Rubel srebrny rosyjski	2 " 1 " 2	2.
Talar pruski	1 " 57 " 1	58.
Polski kurant i pięciozłotówka	1 " 30 " 1	31.
Galicyskie listy zastawne za 100 złr.	90 " 50 " 91	10.

Kurs telegraficzny z Wiednia. 15 marca o 2 g. popołudniu.

Amszterdam. — Augsburg 131½. Frankfurt 130½. Hamburg 98. Liworno. — Medyolan 128½. Genua. — Londyn 12. 46. Marsylia 154½. Paryż 154½. Bukareszt 213. Konstantynopol. — Agio duk. ces. — Srebra agio 31½. Pożyczka 5% 85. 4½, 74½. Pożyczka lit. B. — Akcyje banku 1211. Kolej północna 2210. Obl. ind. 5% —.

(33)

W księgarni Fr. Pillera i spółki we Lwowie

przy ulicy długiej pod Nrm. 32

dostać można:

Książka do nabożeństwa

dla wszystkich katolików

z polecenia najprzewielebn. Arcybiskupa Dunin ułożona.

Nowe wydanie z ryciną w duż. 12ce. Leszno 1853.

(Dla kobiet jako i dla mężczyzn)

Cena: Na pap. zwyczajnym nieoprawna 1 Złr. — kr. m. k.

Na pap. welinowym nieoprawna 1 Złr. 20 kr. m. k.

Cztery ryciny na stali do tejsze książki 20 kr. m. k.

Dostać można także egzemplarzy w różnych oprawach po

1 Złr. 30 kr. aż do 4 Złr. 45 kr. m. k. (1—3)